

CONAN DOYLE.

PÓŻNA ZEMSTA

z angielskiego przełożył W. L.
ZE WSPOMNIENI WATSONA

5

ciąg dalszy.

— Gregson ma słuszość — zabrał głos Lestrade. Dotąd próbowaliśmy nadaremnie, domyśleć się czegoś i jeśli pan rzeczywiście posiada dowody w rękę, jak pan to twierdzi, to sądzę, że nie będzie pan dłużej z tem zwlekał — panie Holmesie!

— Najważniejszą rzeczą wydaje mi się schwytanie mordercy, aby go uczynić nieszkodliwym — dodałem — by nie mógł dopuszczać się nowych zbrodni.

Party ze wszech stron zdawał się Sherlock Holmes nie wiedzieć, jak ma postąpić. Ze zmarszczonemi brwiami, spuściwszy głowę na piersi, chodził jak zwykle po pokoju, namysławiając się długo. Nagle stanął przed nami.

— Nie spełni już on żadnego mordu — bądźcie tego pewni — zawołał dobitnie. Pytacie mnie o nazwisko zbrodniarza, znam je. Co więcej spodziewam się panowie, że w krótkim stosunkowo czasie dostanę go w swoje ręce. Wszystkie przygotowania poczynione, lecz przeprowadzenie planu wymaga szalonej ostrożności, gdyż będziemy mieli do czynienia z człowiekiem odważnym, zdecydowanym na wszystko. Nie brak mu także pomocy ze strony bardzo zręcznego przyjaciela, mam na to dowody w rękę. Niechby tylko podejrzewał nas o co, wnet przybierze sobie inne nazwisko i zniknie bez śladu między czterema milionami mieszkańców Londynu. Nie chciałbym was panowie obrażać, ale mojem zdaniem policja jest zupełnie bezsilna wobec tych rzezimieszków, dlatego też nie prosiłem was wcale o pomoc, i wolę sam ponieść nagane i odpowiadać, jeśli sprawa się nie uda. W każdym razie obiecuję wszystko panom lonieć natychmiast, skoro się dowiem, że plany moje mogą być w czyn wprowadzone.

Obaj detektywi nie byli zadowoleni z tego zapewnienia i wyroku mego przyjaciela. Gregson poczerwieniał jak burak, a oczy Lestrada błyszczały ogniem ciekawości i gniewu zarazem. Nie mieli jednak czasu wywnętrzyć się z tego co im leżało na sercu, bo w tej chwili zapukał do drzwi najstarszy z obszarpanej gromady, młody Wiggins, we własnej osobie.

— Chciałem zameldować pokornie — zawołał salutując po wojskowemu — że przyprowadziłem dorożkę, stoi na dole.

— Brawo! — zawołał Holmes zadowolony. Wyciągnął szybko ze szuflady parę stalowych kajdanków. — Patrzcie tylko panowie, jak się prędko zamykają — w mgnieniu oka. Dlaczego nie wprowadziła ich dotąd policja?

— Stare spełniają dosyć dobrze swoje zadanie — odparł Lestrade — rzecz główna dostać zbrodniarza, któremu możnaby te kajdanki nałożyć.

— Zapewne! zapewne! — potwierdził Holmes z uśmiechem.

— Wiggins — poprosz no dorożkarza, by przyszedł jeszcze na górę i pomógł mi przy zniesieniu kufereka — zawołał Holmes, zwracając się do najmniejszego z detektywów.

Zdziwiłem się ogromnie, że mój przyjaciel wybiera się w podróż, gdyż nie wspominał mi o tem słowem. W pokoju stał mały ręczny kuferek, który teraz Holmes wyciągnął i zaczął przemykać. Był tem jeszcze zajęty i klęczał na ziemi, gdy wszedł do pokoju dorożkarz.

— Czy nie mógłby mi pan pomóc ściągnąć silniej ten pasek?

Posłyszeliśmy ostry, metaliczny dźwięk i w tej chwili poskoczył Holmes jak strzała.

— Moi panowie — zawołał z iskrzącym wzrokiem — mam zaszczyt przedstawić wam Jeffersona Hope, mordercę Enocha Drebbiera i Józefa Stangersona!

Wszystko to stało się z taką szybkością, że zaledwie mogliśmy sobie zdać sprawę, z tego co się tam działo, pamiętam jednak wyraźnie tryumfującą postawę Holmesa, jego głos wyniosły i ogłupiającą, zdziwioną minę Jeffersona, z jaką przypatrywał się kajdankom, które dziwną, jakąś potęgą pozbawiły go wolności.

Staliśmy niemi jak słupy, ale tylko przez chwilę, gdyż Jefferson wydał ze siebie nagle nieludzki krzyk, pełen nienawiści i wściekłości, wyrwał się z nadludzka prawie siłą z objęć Holmesa i poskoczył do okna. Szyby potrząsał na drobne ka-

wałeczki, zanim jednak zdołał wyskoczyć przez okno, przyskoczyli Gregson i Lestrade ku niemu, niby psy gończe ku swojej zdobyczy. Pociągnęli go za sobą w głąb pokoju i rozpoczęła się walka na śmierć i życie. Siłą olbrzyma odpychał nas wszystkich od siebie, parę razy udało mu się wyrwać z naszych żelaznych uścisków. Potrząskane szkło poraniło twarz jego okropnie, lecz upływ krwi nie zdawał się osłabiać jego siły. Dopiero kiedy udało się Lestradowi włożyć mu rękę z tyłu za kołnier, gdy go prawie dusić już począł, zrozumiał Jefferson, że dalsze próby ucieczki na nic się nie przydadzą. Dla bezpieczeństwa związaliśmy mu nogi i dopiero wtedy odpoczęliśmy sobie troszkę.

— Jego dorożka jest jeszcze na dole, zawieziemy go zaraz na policję — zawołał Sherlock Holmes. — A teraz panowie — dodał — jestem gotów odpowiedzieć na wszystkie wasze pytania. Moja tajemnica wyjaśniona, nie potrzebujecie się zatem obawiać, że odmówię wam upragnionych wskazówek.

W kraju Świętych.

ROZDZIAŁ VIII.

Na rozległej równinie Alkali.

Wewnątrz stałego ładu Północnej Ameryki znajduje się sucha, niegościnna okolica, pustynia, która była przez tysiące lat niedającą się usunąć przeszkodą dla postępu cywilizacji. Rozległa ta pustynia, granicząca na północy z rzeką Yellowstone, na południu zaś z Colorado, rozciąga się od Sierra Nevada, aż po Nebraskę — głucha, milcząca. Niema tu wprawdzie jednostajności w naturze, niebotyczne szczyty gór zmieniają się po opustoszałych dolinach, rwące rzeki skaczą po poszarpanych wąwozach górskich, dolinach nieznanym końcu, zamienianych na zimę w białe, śnieżnym całunem pokryte pola, w zimie znów zasypane pyłem Alkali. Straszniejszej i bardziej groźnej okolicy nie znajdziesz już chyba nigdzie.

Kraina ta pełna zgrozy jest nie zamieszkałą. Pojedyncze gromady Pawneów lub Indian przyciągają tylko po niej, w pogoni za innymi okolicami polowania, ale nawet najodważniejszy Czerwonoskóry wydaje okrzyk radości, gdy minie wreszcie pełną grozy równinę i wydostanie się w końcu na ulubione stępy.

Tutaj czyha na zdobycz Cayote, ukryty w gęstwie, ptak drapieżny szybuje ociężale w powietrzu, a dziki, brunatny niedźwiedź szuka w szczelinach górskich skapego pożywienia.

Bardziej smutniejszego wyglądu nie przedstawia żaden kraj na kuli ziemskiej, jak okolica, widziana ze szczytów Sierra Blanca. Jak daleko oko sięga, nic jeno płaska, bez końca równina, tu, tam pokrzywiony krzak Chapparal lub kupy prochu Alkali, który całą równinę pokrywa. W dali widać jeszcze łańcuchy górskie, których poszarpane szczyty śniegiem wiecznym pokryte. Zazwyczaj żywej duszy nie widać, żaden krzyk nie przerwie strasznej, okropnej ciszy, martwe, ponure milczenie panuje dookoła.

W środku pustyni widać jednak drogę karawaną, gubiącą się w oddali. Niejeden wóz pozostawił w ziemi głębokie ślady kół, wielu myśliwych kroczyło tędy za szczęściem. Gdzieś tam połykuje coś białego na piasku w promieniach słonecznych. Przypatrujesz się bliżej — i widzisz szkielety ludzi i zwierząt. Na tysiąc pięćset mil ciągnie się ta okropna, milcząca droga.

Taki mniej więcej widok przedstawił się czwartego maja r. 1847 osamotnionemu podróżnikowi, spoglądającemu właśnie z małego wzgórka w dolinę. Trudno było rozpoznać wiek jego. Mógł mieć czterdzieści do sześćdziesięciu lat, a jego wychudłe i zapadłe policzki, wystające kości, poskórczana twarz, nadawały mu przy mleczno-białych włosach wygląd poważnego starca. Oczy jego, połykające nienaturalnym ogniem, głęboko mu wpadły, ręka jego kurczowo chwytająca za flintę, była strasznie wychudła i sucha jak kościotrupa, ubranie zwisało na nim. Gdy jednak stanął na wzgórku oparty o strzelbę, można było przypuszczać po jego wyniosłej i pogodnej postaci, że kiedyś lepiej wyglądał. Zwiędła twarz, pokurczone jego członki, zdradzały aż nadto dobrze powody jego straszego wyglądu — człowiek ten był, bliżsi śmierci — ginął marnie z głodu pragnienia.

Z trudem wywlokł się przez poszarpane szczytyny górskie na ten pagórek, w zwodniczej nadziei, że uda mu się odkryć w pobliżu wodę. Przed nim rozciągała się wielka pustynia, ujęta niby w ramy przez dalekie górskie łańcuchy, dookoła

ani śladu drzewa lub rośliny, ani śladu wilgoci. Chciwem okiem wodził po pustyni, ciekawie przetrzął ku północy, południu i wschodowi, ale jak daleko rozciągała się równina, z nikąd nadziei ratunku. Wiedział, że stanął wreszcie u kresu, że przyjdzie mu zamrzeć na tej ponurej pustyni.

— Czy teraz na twardym kamieniu, lub dwadzieścia lat później w wygodnym łóżu, wszystko jedno — dodał z rezygnacją, oparłszy się o twarde grzbiec skały.

Zanim usiadł, położył swą strzelbę na ziemi, a obok niej mały tłumoczek, otulony w szary szal. Tłumoczek za ciężki był zda się na jego wyczerpane siły, gdyż upadł na ziemię za prędko, gdy go zdejmował z swych barków. Posłyszał krzyk bolesny i wkrótce wyjrzała przerażona twarzyczka o jasnych, pogodnych oczkach i drobnych piąstkach.

— Boli — wołała mała istotka, głosem pełnym zarzutu.

— Czy być może — zapytał z żalem podróżny — biedne dziecko.

Rozwinął tłumoczek i w tej chwili wyskoczyła z niego pięcioletnia może dziewczynka, której ozdobne trzewiczki, różowa spódniczka i biały fartuszek świadczyły o staranności i zapobiegliwości matki. Dziewczynka była biała i wychudła, po jej okrągłych rączkach można było jednak poznać, że uciertała znacznie mniej od swego ojca.

— Czy jeszcze bardzo boli — zapytał trwożnie, gdy młode dziewczętko trzymało się wciąż za główkę.

— Pocałuj mnie tylko, a wszystko już będzie dobrze — odpowiedziała, wskazując na bolesne miejsce. — Tak zawsze mama robiła. Ale co się z mamą stało?

— Mama daleko! Ale wnet ją ujrzysz dziecińo! Tak mi się zdaje przynajmniej.

— Daleko, powiadasz? — zawołała mała — nigdy przedtem do cioci nawet nie szła tam naprzeciwko, aby mnie Bogu nie polecić, a teraz już trzy dni jej nie ma. Tak mi sucho w gardle, czy nie ma tatusa czego do picia?

— Nie serce — nie mam nawet kropelki wody. Cierpliwości dziecię, cierpliwości, wszystko będzie dobrze. Złóż swoją złotą główkę na mojem sercu, tak, teraz ci już lepiej, nieprawda? Język przysęcha mi formalnie do podniebienia, a jednak muszę ci wyznać szczerą prawdę, tak, jak się rzeczy mają. Co trzymasz w rączce dziecko?

— Coś ładnego, co się świeci i połyskuje — odparła mała, pokazując z zadowoleniem dwa małe kawałki połyskującego metalu. Gdy przyjdziemy do domu, dam je bratu Berteloni.

— Niezadługo dam ci ładniejszą zabawkę — odparł dobitnie podróżny — poczekaj tylko chwilę. Ale, czy pamiętasz jeszcze, jak oddalaliśmy się od rzeki.

— O pamiętam dobrze!

— Widzisz myśleliśmy, że wkrótce inną rzekę znajdziemy, lecz dotąd nie spotkaliśmy jeszcze żadnej. Niewiem, czy plan fałszywy, czy kompas może zepsuty. Woda dawno nam już wyszła, dla ciebie tylko było parę kropelek.

— Nie mogłeś się nawet umyć — odparła mała patrząc poważnie na jego poczerwione oblicze.

— Nie było się nawet napić czego — najpierw zginął pan Bender, potem Indianin, pani Greg następnie Joanna Gones, a w końcu i twoja mama.

— Czy i mama umarła? Biedne dziewczętko ukryło twarz w dłoni, łkając gorzko za matką.

— Tak jest — moja dziecińo — zginęli wszyscy prócz nas obojga. Spodziewałem się znaleźć w tej okolicy wodę, więc wziąłem cię na me barki i przywędrowałem aż tutaj. Na nic się to jednak nie zdało, teraz niema już rady.

Dziecina przestała nagle płakać.

— Czy myślisz, że i my umrzemy? — spytała, spoglądając na niego poprzez łyzy, czerwonymi od płaczu oczyma.

— Śmierć i nas dogoni!

— Dlaczego nie powiedziałeś mi ojcze tego zaraz? — zawołała dziewczynka, śmiejąc się wśród łez do ojca. — Tak mnie przeraziłeś. Więc spotkamy się niezadługo z matulą, gdy umrzemy?

— Ty pewnie serduszek!

— I ty także. Powiem jej wszystko, jak to się ojcze o wszystko dla mnie starałeś. Więc wyjdzie pewnie naprzeciw, stanie przy bramie do nieba, trzymając w ręku świeżo upieczone, smaczne placuszki, takie, jakie my z Berthem lubimy. Ale jak długo musimy jeszcze poczekać?

— Nie wiem, pewnie niedługo.

Oczy starego ojca zwróciły się ku stronie północnej, gdzie unosiły się na horyzoncie trzy punkty, przybierające co chwila na rozmiarach. Wkrót-